1-3

ROK I.

gazetka

Miesięcznik Samorządów
uczniów gimnazjów
krakowskich

Maj
1934

Nr.
7

NAJWIĘKSZA WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

CZYTELNIA naukowa i beletrystyczna

UL. ŚW. JANA L. 8.
ABONAMENT 2 ZŁ.

Ucząca się MŁODZIEŻ BEZ KAUCJI.

Ucząca się MŁODZIEŻ BEZ KAUCJI.

OBUWIE WSZELKIEGO RODZAJU jak: sportowe, spacerowe, wieczorowe i do polowania można nabyć **PO NAJNIŻSZYCH CENACH** w firmie

W. KAPERA

KRAKÓW:
ŚW. TOMASZA L. 29.
SŁAWKOWSKA L. 11.
SŁAWKOWSKA L. 24.

Wszelkie reperacje obuwia NA MIEJSCU.

---

mocne pończochy jedwabne

zł. 2·90
„ 3·30
„ 3·50

(matowe z połyskiem)

poleca

jasiński
rynek (linja a-b)

SKŁAD PAPIERU I PRZYBORÓW PIŚMIENNYCH

E. CZAPLIŃSKI

Kraków, Szewska 2.
TELEFON NR. 178-66.

KUPUJCIE WPROST WE WYTWORNI!

STUDENCI:
Czapki
Tarcze
Odznaki
Guziki

HARCERZE:
Mundurki, Czapki
Pasy
Herby m. Krakowa
Sznurki, Gwizdki

ODZNAKI: P. O. S. i O. S. w cenie fabrycznej.

Ł. Censor
Kraków, Szewska 18.

(półpiętro) tel. 145-40.



Nr. 7 Cena 15 gr. Rok 1.

Gazetka

Miesięcznik Samorządów uczniów gimnazjów krakowskich

Kraków, maj 1934 r.

Nadesłane z kraju



Nie zrywając z wielowiekową tradycją



dała Polska przez budowę Gdyni dowód, że i w rozwoju gospodarki i handlu potrafi przodować.

Słuchowiska szkolne...?

(Wywiad z dyrektorem krakowskiego Radja p. B. Winiarzem).

Ledwie wszedłem do gmachu krakowskiego Radja, przy ul. Basztowej i oznajmiłem portjerowi, że pragnę poprosić p. dyr. Winiarza o wywiad dla „Gazetki", ujrzałem samego p. dyrektora, przechodzącego przez korytarz. Podszedłem więc do niego i przedstawiłem me życzenie. P. dyrektor poprosił mnie odrazu do swego gabinetu, mówiąc, że słyszał już o naszem piśmie, choć nie miał jeszcze okazji zapoznać się z niem bliżej. Podaję zatem parę numerów „Gazetki", zwracając uwagę na artykuł z Nr. 4: „Nasza audycja".

— Ach, tak, przypominam sobie, — powiada mój rozmówca, — rzeczywiście w gimn. Nowodworskiego było takie słuchowisko szkolne w „Tygodniu Książki".

— Czy Radjo częściej urządza takie słuchowiska szkolne? — zadaję pytanie.

— Jak dotychczas — nie, przedewszystkiem dlatego, że w szkołach niema zainstalowanych głośników radjowych, przez co urządzanie tego rodzaju słuchowisk nie może dostatecznie spełniać swego zadania.

— Dlaczego jednak niema prawie wcale audycji, urządzanych dla młodzieży przez młodzież?

— Ta sprawa jest o tyle trudną do rozwiązania, że w grę wchodzi Kuratorjum, i kwestja wychowania młodzieży. — Idzie mu, zdaje się o to, by nie rozbudzać w młodzieży niepotrzebnej ambicji, (czy też, inaczej mówiąc zarozumiałości). W grę wchodzą zatem względy pedagogiczne.

— Jednak, próbuję opanować, to samo Kuratorjum, popiera teatr szkolny, gdzie aktorami jest młodzież w wieku szkolnym.

— W tym wypadku zachodzi pewna ważna różnica między radjem a teatrem. My, tj. zarząd Radja, musimy się na dobór programów zaopatrywać ze strony słuchaczy, gdyż abonent nasz jest ściśle związany z tem, co w radju jest nadawane. Publiczność zaś teatralna może iść na sztukę wedle swego gustu wybraną. Młodzież grywa zazwyczaj utwory poważne, wartościowe, a radjosłuchacze wolą naogół rzeczy lekkie. Kultura warstw szerokich jest mało wyrobiona. Przypominam sobie

czas, gdy zakładano Radjo. Odzywały się wtedy protesty, przeciwko nadawaniu wszelkiej muzyki, gdyż uważano ją za nudną. Obecnie publiczność nauczyła się rozróżniać muzykę lekką i poważną, wyrobiła w sobie zamiłowanie do piękna tonów i harmonji. Radjo spełnia ważną rolę budzenia kultury „przemycając" pomiędzy programami lekkiemi, wesołemi, rzeczy poważniejsze i bardziej wartościowe.

— Czemu Kraków nadaje tak mało słuchowisk? Wszak, o ile wiem, cieszą się one ogromną popularnością.

— Słuchowiska są z reguły nadawane na wszystkie stacje Polskie. Stacyj jest, 7 a godzin tylko 12. Na każdą stację wypada zatem bardzo niewiele czasu. Do tego przyłącza się brak odpiednich tekstów audycji.

— Jaki rezultat dał niedawno rozpisany konkurs na słuchowisko?

— Nadeszło około 80 odpowiedzi, z których pod uwagę można było brać zaledwie 5—6. Pomiędzy odrzuconemi było wiele utworów odpisanych ze sztuczek dramatycznych.

— Słowa p. dyrektora, przypominają mi doświadczenie z „Gazetki", która też otrzymuje nieraz utwory odpisane. Chciałbym się jeszcze zapytać, czy prawdą jest to, co niektóre czasopisma opowiadają w oryginalnych sposobach walki z radjopajęczarstwem w Austrji?

— Nic nie wiem — odpowiada mi zdziwiony głos p. dyr. Winiarza. — O jakich to metodach słyszał pan?

Opowiadam zatem, iż podobno rozesłano po domach formularze z zapytaniami o stosunku poszczególnych osób do radja. M. innemi była tam rubryka: „Czy jestem radjopajęczarzem?" Kto z radjopajęczarzy przyznał się, zostawał zwolniony od całej kary, pod warunkiem dalszego lojalnego postępowania.

— Nie słyszałem o tem. Być może, że to prawda, wątpię jednak, czy system ten dałby u nas odpowiednie rezultaty. Zresztą kwestją tą zajmuje się urząd pocztowy.

W tej chwili wchodzi do pokoju jakiś interesant — czuję, że obecność moja mogłaby nie być pożądaną. Przed wyjściem otrzymuję jeszcze od p. dyrektora zapewnienie, o życzliwości dla „Gazetki" i obietnicę umieszczenia komunikatu o niej w programie radja. Dziękuję bardzo za tę uprzejmość — wychodzę — wywiad już skończony. **Z. E-r 356.**

Ręką po słońce.

Codziennie pnie się wzwyż po aksamitnej modrze nieba
puszysty krąg słońca w srebrnem okolu chmur-firanek
i dzień cały w kwiatów kielichy żywe złoto wlewa;
po pracy do snu się składzie za lasem z pustym dzbanem.
Nad wszystkiem, co żyje roztacza uśmiech złotolity
ciągle spijany chciwie szczęścia spragnionemi usty
— i tylko ludzkie serce w piersi smutkiem sytej skryte
na zew słoneczny odpowiada skargi dźwiękiem pustym.
A przecież tak łatwo nachylić kotarę błękitu
wyciągnąć dłoń i dostać słońce, jak dojrzały owoc
i wcale nie trzeba się wzbijać ponad szczyty szczytów
wystarczy sięgnąć ręką — lecz ręką zdrową.

Trybowski 357

Wróbel.

Wszedł gospodarz klasy z dziennikiem konferencyjnym pod pachą. Po szybkiem, rzuconem w drodze do katedry, „proszę siadać" cała klasa usiadła spokojnie, cicho i jakby znieruchomiała. W nienaturalnym tym spokoju czuć było właśnie całe ogromne zdenerwowanie wszystkich. Był dzień po konferencji i wszyscy czekali na przeczytanie wyników. Jedyny może Staszek był spokojny. Będzie miał jedno tylko napomnienie. Drobnostka. Profesor załatwił nieobecnych, potem spojrzał na klasę, uśmiechnął się i sięgnął po dziennik: „No a teraz"... Potem coś długo mówił o tem, że klasa wypadła źle, że nikt się nie uczy, że zachowanie jest skandaliczne i t. d. Staszek go nie słuchał. Myślał o swojej „napomniance".
na świecie i że to drzewo na ulicy lada dzień sie
Trzeba będzie jeszcze raz przekuć Batorego rozbiory, wielką wojnę... No, nic strasznego. Uspokojony zapatrzył się w rozsłonecznione okno i z zadowoleniem stwierdził, że wiosna już na świecie i że to drzewo na ulicy lada dzień się zazieleni. Pączki ma, bestja, takie duże, że lada dzień liście puści. Odwrócił uwagę od okna, bo profesor skończył wstępne uwagi i już zaczynał alfabetycznie czytać wyniki. Wykazany, napomniany, czysty... Staszek spostrzegł, że konferencja rzeczywiście mocno była zaostrzona. Noty niedostateczne sypały się w klasę jak grad. „Powinieniem Bogu dziękować" — pomyślał — „że będą miał tylko jedno napomnienie". Nim usłyszał swoje nazwisko, znajdujące się w końcu alfabetu, czytanie not trwało długo i klasa była coraz bardziej ożywiona. Specjalnie ostra klasyfikacja zaczęła powoli grać na nerwach. Zjawiały sie głosy protestu, wzmagał się gwar, słychać było „niesprawiedliwość", „sekatura" i inne podobne rewolucyjne wykrzykniki. Profesor coraz ostrzej uspakajał. Wreszcie padło nazwisko: Tarski! — Staszek wstał. „Napomniany z historji"... Staszek kiwnął głową i pochylił się,

aby usiąść, ale zatrzymał się w połowie, bo... W pierwszej chwil myślał, że to przesłyszenie, albo, że to nie do niego mówią. Ale profesor czytał wyraźnie, a widząc osłupiałą minę Staszka powtórzył ponownie: „Wykazany z łaciny i matematyki“. Staszek zdębiał. „Ależ panie prof...“ Profesor zdenerwołał się: „Wyraźnie jest napisane niedostatecznie z łaciny i matematyki! Chcesz, to możesz sam przeczytać!!“ Ale Staszek nie chciał. Usiadł spokojnie.

Niespodzianka była tak kapitalna, że nie miał siły nawet na zdziewienie. Zapatrzył się bezmyślnie w ścianę i ogarnęła go taka apatja, że przysłoniła mu ona poczucie miejsca, gdzie się znajduje. Głosy dochodziły do niego z daleka, jakby z drugiego pokoju, i były bezdźwięczne, bezduszne. Lekcja trwała strasznie długo. Ktoś tam jeszcze się awanturował, profesor coś krzyczał. Wreszcie z korytarza nadleciał głos dzwonka. Modlitwa. Dzieki Ci Boże, za światłość tej nauki... Gdy pakował machinalnie książki, podeszli do niego koledzy. Ktoś mu współczuł: „Ale cię oblali“. ktoś znów się dziwił, że nie zrobił „grandy“. Na ulicy Józek klepnął go po łopatce: „Nie masz się czem przejmować. Możesz sobie łatwo poprawić. Co się będziesz martwił? Patrz, jaka bycza pogoda“. Staszek zarzekał się, że sie wcale nie martwi, ale zauważył przytem, że ma jakiś ochrypnięty trochę głos. Na rogu ulicy pożegnali się. Miasto było zalane złotem, wiosennem słońcem. Było ciepło. Ludzie szli bez kapeluszy z porozpinanemi płaszczami. Staszek skręcił ze swej codziennej drogi i wszedł na planty. Znalazł ławkę wolną na słońcu i usiadł. Dziś po raz pierwszy spostrzegł, że wiosna już przyszła i zaczyna stroić miasto. Że też on tego prędzej nie zauważył! No cóż, ostatni przedkonferencyjny okres był bardzo cieżki. Musiał sie uczyć i nie miał czasu na oglądanie się po mieście. Nagle spokojna apatja pękła i coś w nim zaskowyczało boleśnie: Poco się tak uczył? Łacina niedostatecznie, matematyka niedostatecznie! Za co? Za co? Z łaciny był niedawno pytany i odpowiedział całkiem dobrze. A matematyka? Matematyka była jego najłatwiejszym przedmiotem. Nigdy się jej nie bał! Za co? Czuł się bezradny, przybity, skrzywdzony. Zupełnie tak, jakby go ktoś niesłusznie obił.. Gdzieś w głębi dołączył się jeszcze wstyd Zły, palący wstyd. Jak można! Z łaciny... Z głupiej, łatwej łaciny. Z matematyki? połowie klasy pisał zawsze zadania. Wszyscy „odwalali“ od niego i są czyści, a on ma niedostatecznie. Buchnął w nim bunt, lecz po chwili znów rozlał się apatją: „Ech, niema o czem myśleć!“ Rozglądnął się dokoła. Wszystkie słoneczne ławki były zajęte. Na każdej z nich siedział jaki człowiek, tak, jak on rozparty wywygodnie, uśmiechający się do ciepłego słonka, do wiosny, do życia. Z gałęzi drzew, po przez szum dolatujący z ulicy, płynął radosny gwarliwy świergot ptaków. Ptaki śpiewają... Boże! Jaka to już wiosna !

Nagle spadł gdzieś z nieba mały szary wróbel i stanął sobie o jakieś dwa kroki od Staszka. Zleciał napewno po pożywienie, ale uważał za stosowne wpierw zlustrować, siedzącego na ławce człowieka, czy mu z jego strony jakaś zdrada nie grozi. Podskakiwał wiec w miejscu, przyglądając się Staszkowi raz prawem, raz lewem okiem. Po chwili widocznie się uspokoił. Być może, że chciał specjalnie Staszkowi pokazać, że nic się go nie boi, bo zrobił jeszcze parę skoczków, jeszcze w jego stronę, niefrasobliwie dziobnął się gdzieś pod skrzydło, otrzepał piórka i parę razy ćwierknął sobie z animuszem. Staszek uśmiechnął się: „Rezolutna bestja“. Siedział bez najmniejszego ruchu nie chcąc go płoszyć. Zresztą mały gość nie bardzo był, zdaje się z urodzenia strachliwy. Wyszukał sobie na piasku wygrzane słońcem miejsce, przysiadł i zaczął całym korpusem kręcić w ten sposób, że po paru minutach utworzył pod sobą malutkie wygłębienie, w którem, jak zadowolona mina wskazywała, było mu bardzo przyjemnie. „Całkiem słusznie — pomyślał pod jego adresem Staszek — mogę ja się wygrzewać na ławce, możesz i ty w piasku. Musi ci teraz być bardzo przyjemnie. Widać to z twego dzióba. Humor i fantazję widać masz. Ha! Dlaczegobyś jej nie miał mieć? Łaciny się nie uczysz, matematyki też nie... O konferencji napewnoś nawet nie słyszał. Wiosna jest, słoneczko grzeje, wszystko się na to składa, żeby ci było jak najweselej. A mnie... Plantami przeszła jakaś paniusia i spłoszyła małego towarzysza. „Stary babsztyl! Poco się tu szwenda? Ulicą iść nie może?“ Za wróblem pogonił wzrokiem aż na drzewo, na którem wylądował. Szczęśliwy wróbel. Życie jest niesprawiedliwe. Dlaczego to małe stworzenie jest szczęśliwe, a on nie? Dlaczego ten wróbel nie ma trosk. dlaczego ma prawo do radości, a młody człowiek męczyć się musi w tej klatce?

Nagle poderwała go wściekłość. Zerwał się ze złością i poszedł z pasją plantami. Przeżuwał bezsilne przekleństwa i pławił się w złości do życia, do ludzi, do samego siebie. Przez zaciśnięte zęby, syczał mu zły, zdecydowany szept: „Inni mają prawo do życia, ale ja nie. Inni się cieszą, ja się gryzę. I dzieje się to przez to, że inni są mądrzy, a ja jestem kretynem. Przejmuję się tą „budą", jak nie wiedzieć czem, gryzę się niezasłużonemi dwójami, kuję przez całe dnie i świata poza książką nie widzę. Ale koniec z tą zabawą! Ja też chcę żyć! Wszyscy weseli „uśmiechnięci, ja mam lat szesnaście i mam minę, jak trup. Koniec z moją głupotą! a wam teraz pokażę!".

Dusiła go taka złość, że chciał książkami rżnąć o ziemie. Spojrzał na nie, pomyślał chwilę, a potem prędko poszedł przed siebie. Na wargach miał teraz zły, cyniczny uśmieszek. Za chwilę skręcał w ulicę Szpitalną. Taffet! To tu. Wszedł: Ile pan da za tę łacinę? A może tę historję? Po paru minutach był znowu na ulicy. Wszedł do jakiejś małej cukierenki. Zjadł kremówkę i kupił czekoladę z orzechami. Wrócił się jeszcze od drzwi i wziął cztery płaskie. Przekręcił studencką czapkę na bakier, usadził ostentacyjnie w zęby papierosa i pomaszerował środkiem plant. Papieros gryzł go w gardle, ale to nic. „Mogą inni palić, może i on!" Zaraz koło teatru spotkał Władka, idącego gdzieś z miasta. „A ty dokąd" — zapytał. — „Byłem po lekcjach jeszcze na Deptaku. Ale co ja widzę?! Stasieczek z papierosikiem?! Nie wiedziałem zupełnie, że palisz! Toś ty Staszek, widzę, naprawdę byczy chłop! Może mnie poczęstujesz?". Staszek podał mu papierosa. Patrzył na kolegę wesoło: „Władek! Bycza pogoda, co? Możebyśmy tak, na to conto, jutro poszli „zalabę"? He?" Władek ucieszył się z dobrego pomysłu i zgodził się bez gadania. Umówili się na następny dzień: „o ósmej przy bramie Florjańskiej". Po chwili Władek poleciał do domu na obiad. Zaciągając się Staszkowym papierosem kiwał głową ze zdziwienia: „No, no! Zawsze myślałem, że ten Staszek to „wzoruś". Tymczasem okazuje się, że to chłopak całkiem „do rzeczy". Staszek został na plantach. Nie pójdzie jeszcze na obiad. Czuł w sobie jakieś zdenerwowanie, jakąś złośliwą wesołość, chęć szaleństw. Gdy poczuł głód, rozpakował czekoladę. „Tak — pomyślał złośliwie — teraz życie przedstawia się całkiem inaczej". W pewnej chwili minęła go jakaś panienka. Była bardzo ładna. Miała granatowy, elegancki płaszczyk, z szarym barankiem i szary berecik, kokieteryjnie nasunięty na bok, na czarnych, pięknych włosach. Niosła teczkę: Napewno gimnazjalistka, pomyślał. Zawrócił i poszedł za nią. Panienka oglądnęła się. Staszek się zbliżył: „Bardzo panią przepraszam..."

Na wywiadówce, zaniepokojoną matkę Staszka uspakajał profesor: Proszę się tą notą niedostateczną nie niepokoić. Staszka znam, jako bardzo zdolnego i inteligentnego chłopca. Pytałem go niedawno, odpowiedział mi nawet, ale...Wie pani, ja mam wrażenie, że on sie mało uczy. Jest to chłopak inteligentny, więc odpowiedzieć na pytanie zawsze potrafi. Ale ja nie widze, żeby on w domu solidnie pracował, a nie moge klasyfikować z samej inteligencji, ja muszę widzieć pracę ucznia. Jesteśmy poza tem z niego zadowoleni. Jest przykładem dobrego zachowania się. To niedostatecznie, mam wrażenie, że mu to dobrze zrobi.

Matka Staszka odetchneła z ulgą: No to wszystko w porządku.

Wilczek 358.

Płynę.

Płynę...
ramiona szybkim są łamaczem fal
pruja zalaną słońcem wodę,
prężne nogi sieką toń zachodu
i pchają — .., ciągną,... w dal, —
Słońce płynie wciąż na me spotkanie
i rzuca płachtę złotych plam,
które ośmiornicami ruchów zagarniam,
i cieszę się na stepu świateł granie...!

Ta-ho. 358.

Pierwsze zawody.

Przeczytawszy w „Kurjerze“ o biegu okrężnym Krakowa na 3.500 metrów, nie mogłem spać. Listownie zgłosiłem się i czekałem z biciem serca nadejścia tej czerwcowej niedzieli. Dzień przed zawodami zauważyłem afisz na kiosku, na którym widniało nazwisko „Kusego“, Fiałki, Szczygła i innych z dobremi numerami. Przy Kusym był znak zapytania, bo ostatnio dzienniki podawały, o silnej kontuzji nogi.

Trasa prowadzi z pod „Pałacu Prasy“, ul. Gertrudy, Plantami, Podzamczem, dalej ciągnie Plantami, Straszewskiego, Podwalem, Dunajewskiego, Basztową, Potockiego i pod „I. K. C.“, gdzie zwycięzcom rozdają nagrody. Teraz trzeba będzie się obejrzeć.

Najpierw udałem się do „Pałacu Prasy“. Wszedłem — cały budynek szumiał, jak ul, dygotał od pracujących motorów, które wyrzucały dziesiątki tysięcy gazet na całą Polskę Parter zajmowały maszyny drukarskie. W powietrzu fruwały długie wstęgi papieru białego. Rozwijały się z zawrotną szybkością następnie podkładały, pod jakieś walce, z pod których ukazywały się zadrukowane. Potem chwytały je inne maszyny. Papier znikał , za chwilę później wytryskał, nabrawszy innych kolorów. Gmach cały wprost kipiał. Stałem w halu — cztery piętra strzelały w górę. Wśród kłębu dymu siedzieli rozmaici panowie i panie. Jak oni mogą pisać , w takim gwarze?! — pomyślałem — i jeszcze ta farba, od której mnie już mdlić poczynało. Gmach przepojony był ostrym zapachem, duże windy oprócz schodów łączyły dwa piętra. Ruch nie ustawał ani na chwilę. Wszyscy gonili, dzwoniły telefony, dzwonki, — jednem słowem dom huku i trzasku. A z tego opętanego ruchu rodziła się gazeta, która docierała do wszystkich zakątków Polski. Jutro będzie opisany bieg okrężny.

Oderwałem wzrok od maszyn i wyszedłem przed gmach. Ciepły, czerwcowy deszcz spędzał przechodniów do bram. Nareszcie znalazłem się w domu. z

Nazajutrz wczesnym rankiem, udałem się do kościoła Marjackiego. Po mszy — zaledwie miałem parę minut czasu, biegiem stanąłem w „Pałacu Prasy“. Po drodze potrąciłem wysokiego policjanta, który miał pierś i bary, jak gladjator. Przepraszam! — rzekłem. Proszę! odpowiedział policjant, ale w tych słowach, zdawało mi się, że usłyszałem straszliwą wróżbę „AveCaesar“.

Wreszcie bez błysku nadziei stanąłem na „starcie“. Padł strzał i ruszyliśmy szeroką ławą. Przyglądały się nam tłumy publiczności. Z początku biegliśmy zwartą masą, z której mało kto się wyróżniał. Dopiero, gdy skończyła się ulica Gertrudy, gromada przybrała kształt elipsy, a potem wydłużała się coraz bardziej przypominając węża. Wtem wyprężona linja pękła w jednem miejscu, od tego dzieliło mnie 30—50 metrów. Czułem z tyłu oddech biegnących. Siły moje poczęły się wyczerpywać i dlatego brali mnie. Wreszcie jakiś znajomy na rogu ulicy krzyknął: Zbyszek bier go!!! nie daj się!!! Zawahałem się, czy brać, czy nie, albowiem kilkunastu dzieliło mnie od czołowej grupy. Właściwie teraz mógłbym nadrobić straconą trasę. Wtem pech — na zakrecie ktoś wpadł mi pod nogi — ja na niego. Zerwałem się — biegnę dalej, odczuwając silny ból nogi. Tu dopiero początek trasy. Tymczasem jeden przedemną począł zwalniać, wziąłem go, potem drugiego. Minąłem ich bez wysiłku. Zauważyłem, że zawodnicy byli wypompowani. Przedemną było jeszcze kilkunastu. Fiałka z „Cracovi“ prowadził, tuż zaraz za nim Orłowski z Katowic, dalej Stopa z N. Targu i wielu innych. Mieliśmy słońce za sobą. Oddechałem spokojnie i nieprzyspieszałem tempa. Ludzie wydawali okrzyki zachęty „Fiołka“! tempo!! tempo!! — a ten idąc przodem jeszcze bardziej wysuwał się naprzód. Ale postępujący za nim Orłowski wziął go i prowadził do mety w w odległości 50 metrów od Fiałki, a zaś pod „Lilą Wenedą“ byłem 25-ty, jednak do Orłowskiego miałem daleko. U wylotu A. Potockiego wybuchały okrzyki — „Trzymaj się, nie daj się!!! bier go!!!“ — Obudziła sie we mnie jakaś nowa siła, w kilka sekund byłem już 15-ty.

Pod teatrem zrównałem się z Apfelsztajnem z Tarnowa. Ten spojrzał i dał gazu, ja również. Odsadziłem go o 2 metry. Oglądając się zobaczyłem w jego oczach gniew i zdziwienie; Usta miał silnie wykrzywione i otwarte, twarz zaś była blada i zacięta. Przez to odwrócenie głowy, straciłem zdobyte poprzednio 2 metry. Rywal mój poderwał sie do finishu. Prawie koniec trasy, jeszcze 400 metrów. Gnałem jak szalony, chcąc tylko nadrobić, utracone metry, ale on nieustępował ani piędzi. Nadrobić nie mogłem. Tam była rutyna, a u mnie młodość i zapał. Było jeszcze 300 metrów, nie więcej. Zdawało mi się, że tyko my obaj walczymy o pierwszeństwo. Toczyłem walkę zaciętą, koszulka była mokra, nogi szły, jak pedały u roweru. Wreszcie pomyślałem: albo teraz — albo nigdy, przecież to ostatnia chwila. Gnałem przed siebie z rozpaczą w sercu i z resztą pary w płucach. Nadrobiłem minimalny kawałek, krzyki wzrosły: „nie daj się, — tempo!! tempo!!“. Te słowa wystarczyły, nie biegłem, tylko „leciałem“. Zrównałem sie i przez 10 metrów ciągnąłem razem krok w krok. Słyszałem ciężki oddech przeciwnika, nie-

równy, zdyszany. Gdy doszedłem do poczty, wziąłem go o minimalny kawałek. Już nie widziałem Apfelsztajna, tylko czerwony napis: „Meta“. Paść chyba trupem — ale być tam. W oczach wirowały mi ognie czerwone, serce wyłaziło pod samo gardło i jeszcze ostatni wysiłek, a już dolatuję do mety. Jeszcze 10 metrów, jeszcze kawałek, już — już — wreszcie wleciałem, jak lokomotywa expresu zdyszana na dworzec. Rozpędem wpadł na gromadę ludzi, stojącą za metą. Nie mogłem mówić, nie widziałem nic przed sobą, nog, poczerwieniały mi, żyły wystąpiły, serce tańczyło mi, jak szalone, pękała klatka piersiowa, w płucach ostre tarło. Nagle znalazłem się w halu, gdzie rozdano nagrody i gratulowano mi jako młodemu zawodnikowi, następnie wręczony został mi dyplom. Chwyciło mię coś za gardło. Chciałem się utrzymać do końca, ale nie mogłem. Łzy stanęły mi w oczach. Po skończonych zawodach gwar ucichł i tramwaj,e wstrzymane chwilowo ruszyły. Tłum zwolnia topniał. Wkońcu przed gmachem zrobiło się pusto. Stałem ubrany, w ręce trzymająsc walizeczkę z kostjumem. Nikt mnie już nie poznaie — ludzie nie widzą mnie wcale. Słońce świeci po dawnemu, a mnie zdaje się, że wszystko zgasło mi przed oczyma. Jeszcze kwandrans temu walczyłem, a terez jestem sam.

Frytz Zb. 444.

Mapa.

Daleki czarny Nilu okręt —
oceanów wieczny męt —
— tęsknoty...
Tybet — płonący żółty krąg,
Biel Wisznu przełaskawych rąk —
— Indje...
Sachalin — gdzieś daleki ląd ..
Ach — wiśnie kwitną, dźwięczny gong —
— Nippon...

Pamur, Tong-lino Kochinchina,
Sin-Kong, Bang-Kang, Jokohama,
Tczeng-tu, Mukden i Kambodża...
— Czar trwa...
A Europy szary płat,
Dźwiga wciąż ciężar setek lat —
— Gdzieś w rogu...

Wude 444.

Ze wspomnień Harcerza.

Harcerska pieśń.
Na polanie dogasa ognisko
Cicho w locie srebrzystym mrą skry
Gwiazdy bledną, poranek już blisko...

Jurek, wstawaj, mówię i trącam w bok swego towarzysza. Już czas. Słońce wstaje. Sam jednak drżę na myśl o wstawaniu. Brrr Zimno!

Przytuleni jeden do drugiego, leżymy pod występem skalnym na wierzchołku góry.

Naokoło nas rozciąga sie Jura Krakowska. Jesteśmy w samym iej środku. Białe, poszarpane skały i zielone zagajniki.

Mgła zwolna opada nadół. Będzie pogoda.

Jest już zupełny dzień. Zegarek pokazuje zaledwie tylko czwartą godzinę. Lecz tu wśród przyrody wszystko jest inaczej, niż w świecie

Wstajemy szybko, zapominając o kolcach jałowca, na którym spaliśmy. W pobliżu nie było innego materiału, na sporządzenie materaców.

Jurek idzie po wode, a ia rozpalam ognisko. Ogień chciwie liże dno garnka.

Po chwili pijemy ołowiano-żółtą herbatę.

Szczęki nasze naderemnie wysilaią się.

„Prawdziwy chleb wiejski“ okazał się prawdziwem drzewem. Pozostawiamy więc go opiece szczęk mocnieiszych, od naszych. Pakujemy plecaki i w drogę.

Trzy litry, wypitej herbaty, przyjemnie ogrzewają nasze wnętrzności.

Schodzimy do doliny.

Jaskrawe, żółte i niebieskie chałupy, zakłócają spokój przyrody.

Po krótkim marszu, opuszczamy śpiącą jeszcze wieś. Jeszcze chwilę, człapiemy w gęstym kurzu.

Jesteśmy przy końcu doliny Jerzmanowickiej. Orjentujemy mapę. Na północ, od nas, rozciągają się wzgórza Racławickie. Zbyt są jednak oddalone, by można je dziś zwiedzić.

Porównujemy według mapy formacje skał na wschodzie. Wnet spostrzegamy najwyższe wzniesienie w Jurze Krakowskiej. Niedaleko niego znajduje się moc jaskiń. Tam też kierujemy swe kroki.

Słońce pali już niemiłosiernie, choć dopiero siódma. (Jutro o tej samej porze trzeba będzie iść do szkoły.)

Po krótkich poszukiwaniach znajdujemy czarną dziurę w skale.

Zostawiamy plecaki w krzakach.

Szerokie początkowe przejście, zwięża się nagle. Przełazimy na brzuchach dalej. Stearyna, spływająca ze świecy, parzy palce.

Nagle wąskie przejście urywa się.

Przed nami ogromna sala.

Światło świecy wobec takiej przestrzeni odrazu maleje i jakby ginie. Cienie nasze, niespokojne błąkają się po ścianach.

Ogrom głobionej jaskini, przygniata nas

swą potęgą. Zaczynamy mówić po cichu. Boimy się kogoś obudzić.

Zagłębiamy się w jeden z krużganków. Po drodze robimy na ścianach znaki kredą. Wracać będziemy drogą już znaczoną.

Kamienne sklepienie podwaja, a echo powtarza nasze głosy. Ciągle nam sie zdaje, że w jaskini jest jeszcze ktoś oprócz nas. Mimowoli oglądamy się. Pozioma dotychczas podłoga krużganka raptownie schodzi nadół. Rzucamy do jamy kawał zapalonej gazety. Spada na dno i pali się.

Pomagamy sobie linką i zjeżdżamy zwolna nadół.

Powietrze jest tu gorsze, lecz świeca pali się równocześnie. Z wilgotnych ścian spływa woda.

Na dole krużganek zwezil sie znacznie. Pełzniemy teraz na brzuchach.

W kominie tym najmniejszy odgłos zwiększa się do ogromnego huku.

Korytarzyk prowadzi nadół.

Głowa jest nadole. Słychać dokładnie, jak wali w płucach, serce. Krew nabiega do głowy. Rozsadza skronie. Żyły na rękach nabrzmiewają. Powstaje w mej głowie myśl: jak będziemy wracać nie mając możności odwrócenia się w wąskiej rurze skalnej.

W tej chwili odczuwam silny ból w ręce. Świeca w miedzyczasie wypaliła sie.

Resztka knota poparzyła mi palec.

Pytam się Jurka, czy ma dużo jeszcze świecy.

W odpowiedzi pokazuje mi gasnący ogarek

Po chwili zapanowały zupełne ciemności Świeczka Jurka nie wystarczyła nawet na wydobycie sie z korytarzyka.

Czy wyszliśmy stamtąd, czyśmy pozostali? — niech pozostanie na razie tajemnicą.

Spiczaków 356

Szlachetna emulacja.

Vae victis! Biada zwyciężonym!

Ten głos słyszę codziennie: Kiedy jestem w klasie i przed profesorem, spełniam rolę żony Lota, to znów, gdy się na pauzie znajdę między moimi dłużnikami i gdy nakoniec zajdę w moją dzielnicę. (Na planie Krakowa szukaj jej pod: „Najporządniejsza!").

Wszędzie! Wszędzie, szlachetna emulucja, mająca ze swą dewizę te dwa wielkie słowa: „Vae victis".

Pewnego razu spotkałem swego kolege z popodbijanemi oczyma! Ledwie łaził!

„Na Boga, co z tobą?" — spytałem.

„Nic to! — wyjąkał stylem Sienkiewicza — „Szlachetna emulacja".

„Aha! Słuchać hadko!" — Odpowiedziałem podobnie.

A przecież nietylko słuchać, ale i patrzeć było „hadko", na tę jego emulację.

No ale trudno! Sport na pierwszem miejscu! Inteligencja w nogach, a i boks ma przecież jeszcze dużo do powiedzienia!

— Ponieważ jest to numer sportowy, więc chciałbym cokolwiek powiedzieć o moich wyczynach sportowych.

Tylko, jak zwykle zachodzą pewne wątpliwości, a mianowicie: co będzie aktualne, a co nie, czy to przypadkiem nie będzie zbyt nudne i co to kogo może obchodzić. Pozatem wszystko się zgadza.

Część pierwsza: wpadanie na łyżwach do przerębli, nurkowanie głową w śniegu i robienie kristjanji na spodniach, obecnie z powodu braku zimy — nieaktualne. Wyczyny samolotów? — hm! — temat zbyt górnolotny i rozpływa się na widnokręgu!

Może o piłce nożnej? — Ale to trochę niebezpiecznie! Mógłbym złamać sobie nogę, albo conajmniej zwichnąć... swoją karjerę bajkopisarza.

I to nieaktualne!

Chodzę po ciemnych zakamarkach mojego jasnego umysłu i wśród plątaniny mądrości, szukam drogocennej perły... natchnienia...

„Jest... Przypomniało mi się przysłowie:

„Czego nie można podejść, należy przeskoczyć". A ponieważ w żaden sposób podejść do tematu nie mogę, więc... napiszę o skokach

Skoki są nawet ważne, ponieważ mówi się często: „Skacze, jak wesz po kołnierzu" i t. d.

Ale nietylko wesz skacze, bo skacze także i lew, a przedewszystkiem osioł i człowiek.

Osła jednak oddawna już człowiek na tem polu prześcignął. Szlachetna emulacja wykazała, że człowiek ma więcej inteligencji w nogach, aniżeli osioł i naprzykład osioł nie potrafi w tak pięknym stylu wierzgać nogami, jak stworzenie, rodzaju homo.

— Jaka jest jeszcze różnica między człowiekiem, a osłem?

— Że osioł, choćby i sto lat był osłem, nigdy sam sobie stajni nie zrobi. A człowiek, gdy choć na chwilę jest osłem — z każdego miejsca, bez niczyjej pomocy, sam stajnię urządzi.

Ale wracając do skoków!

Rozróżniamy skoki: Skok na nartach. w celu złamania nogi (nieaktualne), skok o tyczce, w pościgu za pieniadzmi, skok z drugiego piętra, w celu zaprezentowania się ogółowi na szpaltach pism i skok do wody (nie wiem w jakim celu). — Aha! i ostatni skok na piasek (czy ściślej mówiąc; na zakopane w piasku ce

główki), po którym się dostaje boleści brzucha.

To wszystko.

Skok drugi w załączeniu do mnie jest nieaktualny. (Nie dlatego, żebym nie gonił za pieniądzmi, ale wpadła mi raz tyczka za paznokieć, a następnie były różne komplikacje, konflikty, etc., etc.).

Skok trzeci nieaktualny, ponieważ mieszkam na parterze. Skok do wody również nieaktualny ponieważ na to jeszcze za zimno.

Ostatni z tych skoków jest najbardziej aktualny, ale ponieważ u nas w gimnazjum znajduje się skocznia, więc nie skaczę.

Można jeszcze skakać komu do oczu (ale to już poza konkursem) i skakać do P. O. S'u.

Ale i jedno i drugie jest nazbyt ryzykowne, ponieważ w pierwszym wypadku można dostać Kmockaut, a w drugim — posłuchanie u p. dyrektora, z powodu nieprawnego noszenia P. O. S.'u.

Stefan Sadowski gimn. 357.

Jest wiosna...

Chcę coś napisać o wiośnie.

Ale nie o takiej wiośnie, jaka jest teraz. Bo tegoroczna wiosna jest zupełnie nienormalna.

Gdzież ktoś widział coś podobnego, aby po wstrętnym, zimnym marcu, nastąpił gorący, parny kwiecień. Marzec był taki, jak grudzień, kwiecień jest taki, jak czerwiec, wogóle zmiany... same zmiany...

Tak. Dużo się zmieniło.

Bo zeszłego roku, o tym czasie byłam zupełnie gdzieindziej.

Byłam w Harbutowicach.

I gdy patrzę przez otwarte okno na świeże, maleńkie listeczki drzew, dokładnie przypominam sobie Harbutowice, nasze Harbutowice.

To było rok temu, ale zdaje mi się, że to dopiero wczoraj, nie... że to teraz...

Patrzę na maleńkie listeczki drzew, pokryte ciężkiemi kroplami deszczu, które lśnią, jak perły i mienią się wszystkiemi barwami tęczy.

A w mojej wyobraźni, te stubarwne kropelki zamieniają się na stubarwne pasmo dni. . dni jasnych i szczęśliwych, jak słońce.

Pierwszy był... O ten miał wiele barw.

Lśnił brązem opalonych ciał, ostrą cegłą spalonych kortów tenisowych, żółtością piasku na plaży i soczystą zielenią drzew. A to wszystko odbijało się w chłodnej tafli wody i błękicie nieba.

Słońce paliło, a woda chłodziła...

Drugi był zasnuty mgłami...

Szeleścił zeschłemi liśćmi w długich alejach i czarował poematy rdzawo-czerwono-złote. Cooa

Coraz gęstsza była sieć babiego lata...

Trzeci był biały...

Drzewa wyglądały, jak srebrne fantazje z bajek, powietrze było stalowo-czyste.

...Długie deski zamieniały się w skrzydła, na których mknęłam w przeczystą dal z ostrym świstem wiatru w uszach. Mróz skrzył się, a śnieg był taki mięciutki!...

I przyszedł dzień czwarty....

Przyszło święto Zmartwychwstania.

Wiosna.

Wybiegłam na pole, obłociłam buty i całowałam rozkwitłe bazie, koloru szafranowych bab wielkanocnych.

Tarnina zakwitała w ogrodach Harbutowic.

Powiedział mi o tem radosny śpiew ptaków i powiedziały mi świeże, maleńkie listeczki drzew, na które patrzę przez otwarte okno.

Jest wiosna. **Berkowiczówna 365.**

Wyjątki z alfabetu studenckiego.

B.

Nudny, rozsadzony oknami gmach, do którego wchodzi się przez szeroką bramę, w której wystaje niewiadomo poco tercjan. Wewnątrz są dwupiętrowe schody, po których z trudem windować się trzeba parę razy tam i z powrotem. Okna wychodzą na pustą ulicę, tylko jedno czy dwa wyziera na „coś". Na okwitłe drzewa. Wszystko jest jakieś ciężkie, nieruchawe — to **BUDA.**

——ooo——

Byliśmy, to zn. paru kolegów i ja za miastem... dzień ścielił się radosny i upalny, „rozbiliśmy namioty" przy rzece i co chwilę znikał któryś z nas, w orzeźwiających nurtach, wzięliśmy patefon. Wogóle dobra była zabawa uganialiśmy po lesie za wiewiórką i choć zmęczeni pogonią śpiewaliśmy na cały głos — było **BYCZO.**

„Pomyśl sobie Janek, dziś znowu przyszedł „Retorta" wściekle zły. Odrazu na pierwszy sztych lu! odrazu ci mnie wyrwał.

Zlałem, jak długi".

„No boś pewnie nie umiał? Nie?"

„Eh! no pewno, ale żeby mnie czego innego pytał.

C.

Siedzi taki zawsze prawie w pierwszej ławce, do szkoły przychodzi z wyładowaną teką, jest zawsze „ostatniem zdaniem" i... wogóle.

Jest drobny, niepozorny, mizerny; czasem ma brata w ósmej klasie, który też się uczy — celująco. Jednem słowem „firma" solidna.

Taki chłopiec płacze — gdy zadanie napisze tylko — na „dobrze" — i ma miano — **CELER.**

——ooo——

F.

„Czemuż warjacie ciężki nie odwalisz zadania od Olka?"

Zapytany — jest uczniem przeciętnym, dobrze zbudowanym — owszem, owszem niczego.

Ale czasem nie słucha podpowiadań, lub psuje piłki w siatkówce.

Zadanie pisze na kilkanaście stron — i nie odwala — **FRAJER.**

——ooo——

G.

...Jest to pismo, które najprzód wychodzi, powielane, z uciesznemi ilustracjami, lichemi artykułami i wisielczym humorem. Potem zaczynają się kłótnie, kto co będzie pisał, co umieścić, — profesorowie miotają pioruny, ...i „dwóje".

Ale pismo jest. Na kolorowej okładce finezyjnie rozmieszczony napis: **„GAZETKA".**

——ooo——

Patrzeć w okno, podczas wykładu, leżeć brzuchem do nieba (lub do ziemi) nad rzeką, — i nic — nie uczyć się — to znaczy — **GAROWAĆ** się.

——ooo——

H.

W parku Jordana jest dozorca o osobliwie ciekawym wyglądzie. W ręku dzierży okutą „pałę" i zawsze mierzy wzrokiem i krokiem aleje parku, pełne młodzieży. Zwą go niewiadomo czemu — **HARPAGON.**

(Dokończenie na stronie 17-tej.).

List.

(Dokończenie).

Po paru dniach pan Bolesław, był na tyle zdrów, że mógł przechadzać się i rozmawiać. Hryć i jego syn, jego syn — Jur, nie odstępowali go ani na chwilę. W domku pana Walerego, zapanowała radość.

Jur interesował się tylko ojcem i... Hryciem. Ten ostatni jeden jakoś ze wszystkich nie dzielił powszechnej radości — chodził zachmurzony i stroskany.

Nie można było się dowiedzieć od niego nic. „Pan starszy niech mówi" odburkiwał.

„Co ja będę gadał... nic wiekiego, dowiedziałem się, że Wasyla licho do swoich poniosło, ta i pojechałem. Przez granicę, potem do K...

Miałem tu znajomych, którzy jakoś „włożyli" mnie do więzienia, jako dozorcę. Parę miesięcy służyłem — aż raz patrzę, przez korytarz idzie jakiś sowiecki komisarz — w mundurze — patrzę — a to Wasyl. No tom już wszystko wiedział. Wkradłem się w jego łaskę tak, że potem to i do cel mnie zabierał. Z pa-

nem Bolesławem siedział jakiś brodaty „polityczny"...

Dałem im znać karteczką, że ich ocalę jakoś, tylko niech będą spokojni. Tyle mojej zasługi".

„Tak, tak Hryć, ja wiem, że o wiele więcej zdziałałeś. Wyobraźcie sobie państwo, że on wywołał bunt więźniów, dostarczywszy im broni i kluczy; zanim załoga zdołała się opamiętać, była unieszkodliwiona. A ten bestja nas gdzieś na więziennym aucie wywiózł za miasto.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy spostrzegliśmy, że w stronę K. pędzi limuzyna z paroma ludźmi. Myśleliśmy, że nas minie i takby się stało, gdyby nie kierował Wasyl. Dwuch jego ludzi..."

„Pan to mnie chwali, a zapomina, że sam tych dwu wykończył...

„Tak, a kto Wasyla... chciał spytać Jur. Twarz Hrycia znieruchomiała...

„Przepraszam cię Hryć... nie chciałem. Nagle chłopiec rzucił się w stronę otwartego okna..., padły równocześnie dwa strzały...

Hryć zeskoczył z okna w ogród... Jur poszedł jego śladem.

X.

Na oknie widać było ślady krwi. Pan Bolesław wpatrywał się w sad z niemem zrozumieniem — jeszcze on, Hryć. —

...Nad ciałem chłopca stało kilku policjantów.

Ta-ho 358.

Muzy zstępują z Parnasu.

Kilka dni temu ujął mnie jeden z redaktorów „Gazetki", a mój osobisty przyjaciel, pod rękę i powiada: „Słuchaj, napisz sprawozdanie z naszego sobotniego wieczorku. Nam widzisz, nie bardzo wypada chwalić samych siebie, a że sprawozdanie umieścić musimy, więc gdybyś to ty za nas zrobił, bylibyśmy ci bardzo zobowiązani...

Ponieważ zgoła nie godzi się odmawiać przyjacielowi, zwłaszcza, gdy prosi o rzecz dobrą (v. Cic. Laelius s. ol. a.), więc przyrzekłem i niniejszem się z tej obietnicy wywiązuję.

Program zapowiedziany był na godz. 18, a ja byłem na tyle naiwny, że zjawiłem się mniej więcej punktualnie, za co zostałem doraźnie ukarany półgodzinnem czekaniem. Zanim przejdę do właściwego sprawozdania, chciałbym rzucić kilka uwag ogólnych. A więc: gdyby osób było tylko o 100 więcej, niż było, aula gimn. III. nie zmieściłaby tłumu słuchaczy. Gdyby łowicki kilimek, którym przykryty był stolik prelegenta, został wytrzepany, po zdjęciu go ze strychu, gdzie od 5 lat spoczywał, nie stałoby się nic złego. Gdyby „publiczność" zachowywała się nieco ciszej, może usłyszelibyśmy coś z tego, co było mówione. Chociaż — dodam po głębszym namyśle — publiczność była przeważnie żeńska, a od niej trudno wymagać...

Redaktorzy znajdowali się w stanie radosnego podniecenia (eufurji). Aby sunąć wszelkie swentualne złośliwe, a zgoła z palca wyssane uzupełnienia np. „podniecenia" alkoholem", dodam odrazu: podniecenia twórczością. Muzy im sprzyjały, toteż recytacje wypadły ze wszechmiar wspaniale.

Lecz do powieści! Kol. Jurkiewicz, nacz. redaktor i założyciel (jak p. Marjan Dąbrowski) rozpoczął wieczór programowem przemówieniem, nacechowanem młodzieńczym optymizmem i wiarą w lepszą przyszłość świata. Słuchającego doprawdy nabierało się ufności w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, z której tylko przez odpowiednie wychowanie usuwać trzeba złe nawyczki, a staniemy u progu złotego wieku szczęścia całej ludzkości. Wiekopomna to zasługa „Gazetki", że odkryła tę ideę tak prostą, a niedostrzeganą dotychczas przez dobre kilka tysiącleci rozumnego i społecznego bytowania ludzkości. Gdy sie sobie uświadomi, że nie widziano dotąd rzeczy tak prostej, to doprawdy zaczyna się znowu wątpić w tą przyrodzoną dobroć człowieka. Ale dość na tem. Co do kol. Gąssowskiego, to zauważyć należy, że został w redakcji nieodpowiednio użyty, gdyż, jak wiadomo praca nad administracją, rachunkami, cyframi zabija natchnienie i wyjaławia umysł — co też odbiło się na jego przemówieniu.

Konferansjerka kol. Estreichera bardzo pouczająca. Dowiedzieliśmy się przynajmniej, co znaczy „litkup". Należałoby zachęcić go do wydania obszerniejszych komentarzy (poprostu mówiąc „bryka") do wiersza kol. Hołuja.

Recytacja kol. Goetlówny. Hm..., Okręt i załoga skurczyły się do rozmiarów deski i rozbitka, a głos? A głos recytatorki do rozmiarów tak minimalnych, że ledwie go było słychać. Ale opowiadanie było wzruszające. Wyciskało łzy z oczu, jak cebula. Sam widziałem, jak siedzący koło mnie kol. Maciek uronił 5

(słowami pięć) łez na klapę marynarki. Jak te 5 kropek po „i" końcowem.

Co do japońskiego harakiri, kol. Kruczkowskiego, to wstrzymuję się od głosu, ze względu na przyjaźń, łączącą mnie z autorem. Zarazby powiedziano, że jestem stronniczy. Chore opowiadanie kol. Kańskiego rzeczywiście jest chore. Nawet postawię diagnozę. „Choromania vulgaris". Stan ostry. Po jego bolesnym nastroju prawdziwą ulgę przyniósł PT. Publiczności wiersz o figurynkach. „Ja jestem figurynką z porcelany" jakoś to tak idzie w znanej piosence. Wiersz mógłby to samo powiedzieć , a jeszcze słuszniej deklamacja, która była w stylu rococo z dworu króla Stasia. Sentymentalnie czuła i „ulizana", jak markiz z porcelany. Ale efekt wywarła. Ja pierwszy posłałem osierociałej figurce telegraficzne kondolencje.

Mrówcze kwasy zaczęły się we mnie budzić po takimże opowiadaniu kol. Hołuja, a ostry szał antysemicki po powstańczej noweli kol. Wydry. (Dopieroby się kol Wydro zdziwił, gdyby o tem wiedział. Przyp. zec.).

Na tem kończę bo mi zagrożono, że obetną mego tasiemca, jeśli się będzie zbyt przedłużał.

Pozostaje ogólna ocena. Ale ta została już wydana. Jak wiadomo 90 proc. publiczności stanowiły koleżanki, które gorąco oklaskiwały każdy numer (Zwłaszcza urodziwych redaktorów, np. kol. Gąssowskiego).

Otóż jest takie francuskie przysłowie: Ce que la femme vent, Dieu la vent" A z wolą Boską zawsze zgodzić się trzeba, nawet, gdy zsyła na nas taki dopust, jak wieczór autorski naszej redakcji. **M. Plezia 358.**

Uwaga. Jesteśmy koledze P. bardzo wdzięczni za recenzję i wszystkie przyjacielskie złośliwości z szczerem sercem przyjmujemy. Nie chąc jednakże, by propaganda idei ucierpiała z powodu, bądź co bądź — żartów, chcemy dać jedno wyjaśnienie.

Są więc dwa powody, dla których idea tak prosta, jak uszczęśliwienie ludzkości nie została dotychczas zrealizowana, a teraz, lub w najbliższej przyszłości zrealizowana być może.

Do optymizmu uprawnia nas:

1. Rozwój techniki. Dawniej każdy człowiek, by zdobyć jedzenie musiał pracować cały dzień. Teraz wystarczy, gdy co drugi pracuje 6 godzin (dowodem bezrobocie). a w przyszłości ten stosunek będzie się jeszcze poprawiał.

Gdy więc człowiek nauczy się nie przystosowywać się do warunków, wytworzonych przez wynalazki, lecz wykorzystywać je, dojdzie do tego, że kilku ludzi wystarczy, by wyżywić tysiące, które będą się oddawały zajęciom odpowiadającym im, jak np. nauce, czy sztuce. Tak więc wszyscy będą zadowoleni, bo i wyrób chleba, po odjęciu wszystkich mechanicznych czynności przez maszynę, będzie rzeczą przyjemną.

2. Rozwój psychologji. Dawniej, gdy chciano człowieka wychować w pewnym kierunku, bito go, lub zanudzano kazaniami. To dawało często wyniki przeciwne. Z ciągłym rozwojem psychologji nauczył się już częściowo, a jeszcze bardziej nauczy się człowiek sztuki wychowywania.

Zresztą o tem w następnych artykułach.

Iurk. 358.

——o§o——

List (z gimn. 887)

„Gazetka" trafiła do nas. Taka sympatyczna i pociągająca swą prostotą – nie żadna **„Przyszłość"**, czy wojownicza „Naprzód", ani górnolotne „Ku światłu" i innym „lampom niebieskim" tylko całkiem poprostu... „Gazetka". Podobała nam się. Tak się w niej pisze, jak się czuje, źle czy dobrze, umiejętnie lub słabiej, ale to wszystko swoje, nie narzucone. Nie odstrasza swoją krytyką, taka jest koleżeńska.

Chcemy Wam napisać coś o naszej szkole. Nasza szkoła, to gimnazjum kresowe. To całkiem coś inego, iż Wasze. Tutaj ma ona za zadanie nietylko wykonać według programu swój plan naukowy, ale też wykształcić kadry śląskiej inteligencji. Inny jest skład młodzieży — przemysł skupia tu wszystkie dzielnice, przez co się zapoznają i zespalają. Przytem mamy też równoległe klasy niemieckie. Przyznać musimy, że koleżanki Niemki, dobrze czują się w naszej szkole i zachowują życzliwy stosunek. Stanowią one zupełnie odmienny typ dziewcząt, niż Polki. Zewnętrznie różniły się przedtem tylko tem, że nie nosiły mundurków.

Dziwnie wyglądała taka pstra klasa. Teraz to zostało zrównane, ale różnica typów zawsze zostanie. Jesteśmy jedynem gimnazjum w Katowicach, nic więc dziwnego że oczy wszystkich są na nas zwrócone. Tylko nie myślcie, że na skutek tego przeświadczenia chodzimy z minami pełnemi powagi. — Gdzież tam, jesteśmy wesołe i lubimy bardzo się bawić. Sprzyja temu nasza szkoła, która robi co może, żeby przeciwdziałać czarnemu nalotowi węgla, który wciska się wszędzie. Pokrywa ściany, pulpity ławek, brudzi nam kołnierzyki przy żałobnych fartuchach i przyćmiewa tarcze na rękawach. (Ach te tarcze!) Nos,

uszy, wszystko pełne węgla, ale bynajmniej nie przyciemnia on naszych czysto różowych humorów.

Gmach mamy wspaniały — ze wszystkiemi pomocami naukowemi — a urządzenia sportowe pierwszorzędne. Dzięki bliskości Beskidów mamy więcej niż gdzieindziej rozwinięte narciarstwo.

Mamy mnóstwo pracy społecznej głównie pod znakiem pomocy bezrobotnym — no bo i jakże inaczej w dzielnicy, gdzie nasilenie bezrobocia jest 5-ciokrotnie wieksze, niż w pozostałych. Pozatem organizacje te same zapewne, co i u Was.

Smutna ta nasza dzielnica, ale jakże bezcenne posiada wartości niedocenione gdzieindziej. Dobrzeby było, gdybyście się nią zainteresowali, bo zasługuje na zainteresowanie i miłość całego narodu.

No, ale na razie dość. Przedstawiłyśmy się — to nie było ciekawe. Na przyszły raz odezwiemy się z innego tonu, a tymczasem dowidzenia.

T. Micew. Gimn. 887 w Katowicach.

PRACA SPOŁECZNA.

Sprawozdanie z działalności Samorządu uczenic gimn. król. Wandy.

Z początkiem roku szkolnego 1932 33 powstał na terenie naszego gimnazjum Samorząd, którego zasadniczym celem jest zgrupowanie wszystkich uczenic w karnej organizacji, opartej na współżyciu koleżeńskiem oraz chowanie ich na samodzielne, świadome swych obowiązków obywatelki. Dla osiągnięcia tego celu Samorząd nasz podjął pracę wewnątrz szkoły i pracę społeczną pozaszkolną za pośrednictwem swoich władz i sekcyj. Istnieją zatem Sekcje: Bratnia Pomoc, L. O. P. P., Sekcja Estetyki i Porządku, Sekcja Opieki nad dzieckiem, Sekcja Korespondencji z emigrantami i Biały Krzyż.

Sekcje te rozwinęły żywą działalność i tak: Bratnia Pomoc, subwencjonowana przez Dyrekcje gimnazjum, Komitet Rodzicielski i Samorząd, prowadzi sklepik szkolny, oraz organizuje imprezy dochodowe, a z uzyskanych w ten sposób pieniędzy udziela biednym uczennicom stałych, miesięcznych stypendjów, tytułem pożyczki, zwrotnej po ukończeniu studjów i objęciu posady. Obecnie 22 uczenice korzystają ze studjów po 10 lub 15 zł., co w łącznej sumie wynosi 305 zł. miesiecznie. Pozatem Bratnia Pomoc udziela krótkoterminowych pożyczek.

Koło L. O. P. P. szerzy propagandę lotniczą przez referaty i odczyty, organizuje kursy obrony przeciwgazowej, nadto w bieżącym roku szk. urządziło wystawę z okazji tygodnia lotniczego ku czci Żwirki i Wigury.

Sekcja Estetyki i Porządku dba o estetyczny wygląd w gmachu szkolnym, oraz przestrzega porządku i karności, dyżurując podczas pauz. Z jej inicjatywy odbył się konkurs na najpiękniej ozdobioną klasę.

Sekcja Opieki nad dzieckiem pracuje w świetlicach szkolnych i ochronkach, bawiąc się z dziećmi, pomagając im w nauce, organizując imprezy i wycieczki, ponadto zbiera, naprawia i szyje odzież dla biednych dzieci, oraz sporządza im zabawki ze zbieranych specjalnie pudełek od tutek i zapałek.

Sekcja Korespondencji z emigrantami za pośrednictwem T. S. L. przesyła emigrantom polskim czasopisma, książki i pocztówki z kraju.

Sekcja Białego Krzyża urządza imprezy i obchody rocznic narodowych w świetlicach żołnierskich, oraz zbiera dla żołnierzy ilustrowane czasopisma i książki.

Poza temi sekcjami współpracują z Samorządem koła naukowe, oraz inne organizacje, jak: Hufiec szkolny P. W. i drużyny harcerskie. Same pracując społecznie, pragniemy poznać także pracę innych na tem polu. W tym celu odbywają się co miesiąc wycieczki samorządowe do różnych instytucyj Społecznych (czytelnia dziecięca w Podgórzu, bursa ks. Kuznowicza, Świetlica Pracownic igły itd.)

Samorząd urządza przy współudziale wyżej wymienionych organizacyj i kół odchody rocznic narodowych, a więc: rocznicę odzyskania niepodległości, imieniny Marszałka Pilsudskiego, rocznicę Konstytucji 3-go Maja. Pozatem w r. szkolnym ub. Samorząd wraz z Kołem literackim urządził akademję ku czci Wyspiańskiego, a w roku bież. w 250-rocznicę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, zorganizował wystawę okolicznościową.

Celem zbliżenia się i zżycia koleżeńskiego uczenic, odbywają się samorządowe zebrania towarzyskie, jak: Opłatek, przyjęcie nowych uczenic, pożegnanie maturzystek i t. d.

W r. b. Samorząd wraz z gminami klasowemi subskrybował „Pożyczkę Narodową“ w łącznej sumie 600 zł., ponadto złożył na budowę Muzeum Narodowego 20 zł., na „Fundusz budowy szkół polskich zagranicą“ 20 zł., pozatem zarządził zbiorkę książek dla szkół polskich zagranicą i rozsprzedaż znaczków na budowę szkół powszechnych.

Obecnie po dwuletniej blisko działalności korzystając z nabytego w tym czasie doświadczenia, pracujemy nad ułożeniem nowego statutu, któryby dał trwałą podstawę pracy Samorządu i zapewnił mu możność dalszego rozwoju.

Przewodnicząca Samorządu
Janina Farbowska 365.

LITERATURA.

W rocznicę.

Oburzycie się może, czemu w pisemku naszem poświęcono tyle miejsca sprawie, o której mądrzejsi mówią i piszą.

Tak, to prawda, na każdym kroku słyszymy „Pan Tadeusz“. Tak już jest, nie dopiero od dzisiejszego dnia, bo przecież 100 lat minęło od 1-go wydania tego poematu do obecnych chwil.

Przenieśmy się myślą w te czasy odległe, w czasy wielkiej emigracji i po powstaniu listopadowem.

Tłumy Polaków znajdowały się we Francji. Spotkał się tu z niemi Mickiewicz. Jaki był jego stosunek do emigracji, widzimy z różnych dzieł jego i listów. Nie był całkiem zachwycony.

I wtedy poeta „wyrwał się z myślą do szczęśliwszych czasów“, gdy był w Polsce, bo

O czemże dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.

I powstał plan urzeczywistniony w „Panu Tadeuszu“.

Była to pierwsza epopea narodowa w literaturze polskiej, dlatego też z chwilą rozwoju literatury krytycznej zajęto się tem dziełem. O „Panu Tadeuszu“ wyszła niejedna rozprawa, książka, szczególnie dużo w tym roku, mniej więcej wartościowa, omawiająca twórczość Mickiewicza. Najwięcej miejsca poświęcono „Panu Tadeuszowi“.

Więc powiecie — jeżeli sobie zdaję z tego sprawę, to poco piszę?

Oto dotąd zabierało głos tylko starsze społeczeństwo, a my, młodzież, milczeliśmy.

Zdaje się, że zapatrywania na tę książkę zmieniły się. Zresztą może pod tym względem jestem wyjątkiem, ale... (starsi oburzą się na to) zdaje się, że nie i mam na to dowód: gdy zgodziłam się napisać artykuł na ten temat, zastrzeżono się, bym zanadto tego „Pana Tadeusza“ nie chwaliła.

„Pan Tadeusz“ wywiera różne wrażenia, zależnie od wieku i sposobu czytania.

Przeważnie jak się czyta dobrowolnie, w pierwszej, czy drugiej (dawnego typu), to się podoba to opowiadanie o Tadeuszu i Zosi (zazwyczaj jednak takie sceny, jak np. „Radę“, czyta się po dwa zdania, zamiast całej kartki, bo poco te nudziarstwa czytać!).

Później stosunek nasz do utworu zmienia się i to na gorsze. Przyczyną tego jest zbyt szczegółowy rozbiór.

W tym roku „Nauka literatury w szkołach średnich“ jest bardzo modnym tematem. Wszyscy są z rozbiorów niezadowoleni i starzy i młodzi. Każdy, kto czytał „Chama i Kordjana“, Nowakowskiego „Dzwonek niedzielny, (Wiadomości Literackie) oburzał się, jak można omawiając „Pana Tadeusza“ zastanawiać się nad tem, co się działo, o której godzinie; starsi myśleli, że to jednak nie zdarza się w praktyce.

A jednak my możemy poświadczyć, że w ten sam sposób, względnie bardzo podobny, przerobiliśmy ten utwór.

I czyż to nie mogło obrzydzić nam „Pana Tadeusza“?

Jeszcze raz w gimnazjum powraca się do tego dzieła, przy omawianiu całej twórczości Mickiewicza.

I wtedy po raz ostatni zmieniamy swe zapatrywania. Tym razem omawia się tylko pewne kwestje, nie analizując zbyt szczegółowo. Lecz w każdym razie trzeba przeczytać całego „Pana Tadeusza“ i naraz odkrywa się, że właściwie da się to przeczytać, a nawet trzeba przyznać, spisy przyrody są bardzo ładne, czasem ktoś jeszcze zauważy, że postacie są doskonale scharakteryzowane.

Możliwe, że utwór ten zasługuje na większe uznanie z naszej strony, jednak dawniejsza niechęć do niego przebija się ciągle i nie pozwala się nam nim entuzjazmować.

K-na. 365.

Z PRASY.

Młody Polak w Niemczech.

Nawiązaliśmy kontakt z pismami młodzieży polskiej zagranicą. Przedewszystkiem w Niemczech. Im to najpotrzebniejsze. A i my dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy. I to nie o Niemczech, o Polsce. Po przeczytaniu „Młodego Polaka“ jestem może nie bardziej dumny z Polski, lecz duma moja jest bardziej uzasadnioną. O to chodzi redakcji „Młodego Polaka“. Wprawdzie pociąga to za sobą pewną jednostronność, ale to trudno. Zadanie swoje spełnia ona doskonale, a to sprawa najważniejsza i zasadnicza.

Pismo to wydane jest i redagowane naprawdę nienagannie. Jeżeli chodzi o artykuły, to poziom bardzo wyrównany, niema słabych stron. Doprawdy żałować należy, że żadne z pism dla młodzieży wydawanych w kraju nie zdołało jeszcze osiągnąć tego poziomu.

Nasza prasa.

Począwszy do tego numeru, na przestrzeni pewnej, liczbowo nieograniczonej, ilości słów, będę się zajmował prasą młodzieży. Nie dla młodzieży. Pisma bowiem, wydawane przez starszych są złe. Poza b. nielicznemi przebłyskami świadomości (Świat dziewcząt), bredzą one cudnie w jakimś religijnym, czy histerycznym transie, nie licząc się wcale z zainteresowaniami i potrzebami naszemi.

Zwrócenie uwagi na prasę, wydawaną przez młodzież jest konieczne. Namnożyło się tych pism do licha i trochę. Na domiar złego własne pismo stało się modne. — Zajmują się nami i starsi (Kurier), ale są to wypadki nie tyle nawet przypadkowe, ile „po znajomości".

Ażeby mieć jakiś punkt oparcia, ustanowię sobie granicę i postawię tron, z którego to, ja, gniewny bóg, będę jednych strącał na potępienie, drugich wprost do niebios. W poszukiwaniu jakiegoś miernika doszedłem do takiego wniosku: Nie każde pismo musi mieć cel, do którego dąży, ale każde musi mieć przyczynę, z której **się rodzi**. I z tego spostrzeżenia zrobiłem sobie lakmus. Jeżeli zabarwi się na czerwono, będę wiedział, że to moda, jeżeli opłynie piękną, , niebieską farbą, okaże się wykładnikiem zbiorowiska, z którego wyszło jego sprawdzianem i wartością. Takiemu pismu można wybaczyć chwilowe niepowodzenie. Jest ono potrzebne.

Zacznę od „Kuźni Młodych" (nr. 9, 40). „Z wieku jej i z urzędu..." Manifest święta pracy, otwierający numer, kontrastuje mile z rozziewanym charakterem reszty artykułów redakcyjnych. Zadomowił się w tem piśmie taki rodzaj artykułów: Na wstępie autor zapowiada, że niema o czem pisać i o tem pisze już do końca. A szkoda... Twardowski w płomiennym artykule nawołuje o większy ciężar gatunkowy dzisiejszej, a raczej jutrzejszej poezji. — Poezja? Właściwie miałem o niej nic pisać. Wiadomo: linie horyzontów, elipsy, parabole i t. p. straty tylnej awangardy. W tej całej styczności pali się to, dlaczegoby warto wiersz przeczytać. — Pozatem jednak cały numer dowodzi, że redaktorzy są młodzi (w najlepszem tego słowa znaczeniu).

„Szkolne czasy" (kwiecień 1934). Zmiany! W redakcji i w cenie. Kosztuje o 5 gr. mniej, pisze o 5ciu redaktorów więcej. A raczej ma pisać. Narazie zostało tak, jak dawniej.. Te same trzy początki imion i nazwisk w najrozmaitszych odmianach. — Najwięcej podobał mi się reportaż: „Fabryka prasy" (tytuł mocno nieudany). Z jednego takiego urywku, nie można wiele wywnioskować o stylu autora, ale artykuły kol. Schnee będę czytał z ciekawością. Pozatem redaktorzy umiejętnie chwalą się, że czytają „Wiadomości Literackie" i to też nadaje ton całemu pismu. Mogliby powiedzieć coś od siebie. Prawdopodobnie stać ich na to.

„Hallo, tu my" (nr. 2, kwiecień). To jest właśnie pisemko dla mody. Takie bardzo poprawne, gładkie. Przypomina celera. Nic specjalnie złego, ale też nic dobrego, tak, że właściwie niema o czem mówić. Dla informacji czytelników powiem jeszcze, że cały numer ma charakter harbutowicko - karnawałowy. Wystarczy... **aka 358.**

——o§o——

SPORT.

Dnia 22. IV. br. odbyły się zawody gier sportowych między gimn. Podgórskiem, a gimn. im. Kołłątaja. Po ciekawej walce, gimn. Kołłątaja uległo w koszykówkę w stosunku: 19:6, w siatkówkę zaś dopiero w trzech ratach, pokonało ginm. Podgórskie. Ogólny wynik 1:1. Sędziował dobrze p. Kawaltowski.

„Gandi" 444.

——o§o——

Dnia 26. kwietnia 1934 r. odbyły się zawody towarzyskie w koszykówce T. S. „Sokół", przy ul. Wolskiej między: gimn. 357— gimn. 359. **27:16 (14:6).**

Drużyny wystąpiły w następujących składach: gimn. 357: Leśniak, Resich, Eberhardt, Filipkiewicz, Karcz; rezerwa: Piętakiewicz.

Gimn. 359: Rudzki, Bachman, Jordan, Fischer, Kalicki; rezerwa: Haliszczuk.

Przebieg gry: Gra przez cały ciąg zawodów prowadzona przy wyraźnej przewadze gimn. 357. Atak tej drużyny orjentował się bardzo dobrze przy koszu, w przeciwieństwie do drużyny gimn. 359, która mimo dobrej gry w polu, nie umiała strzelać, a także nie wytrzymała tempa gry.

W drużynie gimn. 357 wyróżnili się z ataku: Filipkiewicz — strzelec (13) punktów, Eberhardt (6), a z obrony Resich. — Z gimn. 359 Bachman (6) i Jordan (8). Sędziowali: pp. Stefaniak i Lesiak obaj (Cracovia) bardzo dobrze. **357.**

FILM.

„Czibi".

Niedawno stosunkowo ukazały się u nas filmy austrjackiej produkcji, a już zdołały sobie zyskać polską publiczność. Nie dziw, bo Austrja przejęła w czasach regime'u hitlerowskiego dużą część producentów, reżyserów, oraz wiele zdolnych jednostek z dziedziny filmu. W momencie, gdy upada film niemiecki, mała Austrja staje się obok Francji, drugiem, wielkiem centrum artystycznego filmu europejskiego. Dla nas w Polsce może, sprowadzenie filmów austrjackich mieć duże znaczenie, gdyż język niemiecki jest z pewnością bardziej znany od angielskiego. Gdy do tego dodamy świetną technikę reżyserską, opartą na doświadczeniach amerykańskich, znakomitą grę artystów, to zrozumiemy powodzenie dźwiękowca austrjackiego. Film „Czibi" może być uważany za prawdziwą reklamę nietylko produkcji austrjackiej, ale też artystów węgierskich, którzy obsadzają większość ról. Scenarjusz, ta bolączka naszych filmów, stanowi nie mało o powodzeniu filmu, szybkie tempo akcji, pełnej niespodzianek, całość znakomicie i lekko skonstruowana. Prawdziwa komedja wiedeńska, odznaczająca się artystycznym smakiem Słynna artystka rewjowa przyjeżdża do domu, i zastaje swą mamusię n. b. jeszcze młodą i piękną, jako... szczęśliwą narzeczoną. Wywiązuje się szereg komplikacji. Pomysłowa córeczka udając małą dziewczynkę, nietylko wybawia mamusię z opresji, ale nawet sama dla siebie zdobywa męża. Akcja barwna, błyskotliwa, szereg świetnych sytuacyj, a nadewszystko humor. Wiedeński humor, beztroski, ujmujący, jakżeż odmienny od mechanicznej płycizny amerykańskiej. W ten film wnoszą artyści oprócz świetnej gry, zwłaszcza mimicznej, niewyczerpany zasób temperamentu i wesołości. Franciszka Gaal czaruje swą grą w każdej sytuacji, czy jako słynna gwiazda rewjowa, czy jako mała dziewczynka, a jej partner (nazwisko zapomniałem) jest w roli młodego adwokata, naprawdę rasowym aktorem. Pozostała obsada ze znanym komikiem węgierskim Tiborem v. Halmay na czele, jest świetnem uzupełnieniem gry tamtych. Wspomnieć trzeba jeszcze muzykę, skoncentrowaną głównie w czarujących piosenkach Fr. Gaal nowej gwiazdy na firmamencie europejskim. Publiczność krakowska masową frekwencją dowiodła, że umie ocenić dobry smak X. muzy. **L.-r. 357.**

—o§o—

„Tunel".

Kto czytał kiedy świetną powieść Kellermana, ten zrozumie, że temat jej doskonale się nadaje na scenarjusz filmowy. Obrazek z niedalekiej przyszłości. Ogromne przedsięwzięcie. Walka. Szeleszczą papiery towarzystw okrętowych. Z drugiej strony postęp — szumne ideały... postęp i... papierowe hasła. O wiele wyrazistszą wymowę mają ciśnięte pod drukarską prasę akcje Syndykatu budowy tunelu.

Walka. Walka o uprawniony cel. Potężne maszyny, ogromne. Tunel rośnie. Tłum cieszy się, zmniejszone bezrobocie. Wybuch... katastrofa. Dziesiątki zabitych. Cóż to znaczy? Jeden i ten sam cel. Zwycięstwo w walce. Ale jeden z walczących ginie kwadrans przed zamierzonem przez siebie dziełem zniszczenia. Drugi cel swój osiąga za cenę zdruzgotanego szczęścia. Opowieść się kończy... film się urywa. **S. G. 358.**

Coś o zabawie.

Hallo! Hallo! Tu coś dla was. Zielony karnawał.

Nasza redakcja zamierza urządzić przed Zielonemi Świętami tańcówkę literacko-artystyczną (?!) pod nazwą

TAŃCZĄCA GAZETKA.

pod znakiem oryginalności, humoru i walki z przesądami. W programie piosenki, skecze i konkursy. Sądzimy, że zwłaszcza nasze konkursy zainteresują wszystkich. — Liczba zaproszeń bardzo ograniczona, zaproszenia numerowane. Ponieważ wszystkich studentów w Krakowie znać nie możemy, rezerwujemy pewną ilość zaproszeń dla nieznajomych. Należy się po nie zgłaszać do któregoś z członków Redakcji.

Wszystkich zaproszonych prosimy o bezwzględne przybycie, bo pary specjalnie dobierane.

Konkurs „Gazetki".

Częstokroć zwracano się do nas z prośbą urządzenia jakiegoś konkursu, celem zbliżenia i zacieśnienia stosunków łączących kolegów-czytelników z „Gazetką". Dlatego ogłaszamy obecnie konkurs na nowelę sportową. Warunki jego są następujące:

1. Wymiar noweli nie może przekraczać 100 wierszy jednoszpaltowych „Gazetki".

2. Pismo musi być wyraźne i czytelne; pisać należy atramentem, jednostronnie.

3. Stawać do konkursu może każdy uczeń (uczennica) gimnazjum i liceum, tak ze szkół, które są reprezentowane w redakcji „Gazetki", jak i z niereprezentowanych. Brać udział mogą zarówno koledzy (koleżanki) miejscowi jak i zamiejscowi.

4. Utwory konkursowe nadsyłać należy do 30. V. 1934 pod adresem: Redakcja „Gazetki" Kraków, ul. Sobieskiego 9, gimn. im. kr. J. So-

bieskiego. Na kopercie należy napisać: Konkurs sportowy. Utwory muszą być podpisane imieniem i nazwiskiem autora, oraz nazwą jego gimnazjum.

5. Treść noweli powinna łączyć się w jakikolwiek sposób ze sportem.

6. Nagrodą będzie artystycznie wykonany dyplom honorowy i umieszczenie utworu w „Gazetce". Pozatem laureci trzech pierwszych nagród otrzymają wartościowe niespodzianki, jak również autorowie niewyróżnionych, a wartościowych prac.

7. Ogłoszenie wyników ukaże się w możliwie najszybszym czasie.

Redakcja.

—o§o—

(Dokończenie ze strony 10-tej).

K.

Jest pauza, wszyscy wybiegają z klasy, zajadając „skromne" śniadania, jeden tylko został. „Człowiek" o tępej twarzy i bezbarwnych oczach. Czyta... uczy się... nie! on kuje. Kuje w dzień i w nocy... wszystko „na blachę" na pamięć. Nigdy nie ma czasu, ciągle się uczy — a nic nie rozumie — wiadomo — **KUJON.**

—ooo—

Ktoś rzucił papier na katedrę„ zrobił to dobrze zręcznie...

Ktoś strzelił doskonale goala...

Ktoś wywalił kogoś w zęby, że ani... ani...

Ktoś podsunął wypracowanie szkolnego zadania.

On to zrobił — **KLAWO.**

—ooo—

...Czytasz zajmujące „dzieło" Zarzyckiej, czy innego... Pitigrillego... to jest — książka.

....Czytasz, nie, masz przeczytać... nie „wkuć" gramatykę łacińską... gruba — nieprzystępna — **KNIBA.**

—ooo—

L.

„Poskarżył"!!.

„Wyrywa się wciąż"!!

„Odnosi zeszyty szkolne do domu"...

Wogóle — **LIZUS.**

—ooo—

...Nie, tego słowa wam nie wytłumaczę — jest... niemoralne...

Brzmi ono — **LABA.**

—ooo—

M.

To jest ona, najnudniejszy przedmiot, wlecze się najdłużej, to jest — **„MAJA".**

—ooo—

N.

„Ale mu dał no! no! ani się nie oglądnął, a tu już leży... **NASYPALI PIASKU.**

—ooo—

S.

...Wpadł do klasy, nic nie wiedząc. że w klasie jest już od chwili — profesor... no i zaczął kląć...

Wiara ryczała ze śmiechu, — taka była **SKRZEPA.**

Ta-ho 358.

—ooo—

Nr. 7-my „Gazetki" kosztuje gr. 15, a więc „Gazetka" podrożała. — Podrożała dlatego, że stron więcej, a stron więcej, bo dużo dobrego materjału, którego szkoda odrzucać. Na przyszłość zaradzimy w ten sposób, że zamienimy „Gazetkę" na dwutygodnik, ale w tym roku już się nie da, bo czasu mało, a roboty dużo. — Zresztą faktycznie i tak już jest dwutygodnikiem: w marcu wyszły n-ry 4 i 5, w kwietniu 6, i Żywy, a teraz, po wydaniu 7 mamy zamiar urządzić Tańczącą Gazetkę. Co zaś do podwyżki ceny, to jeżeli sprawia wam tak wielką różnicę, to piszcie do redakcji może jakoś inaczej poradzimy.

Redakcja „Gazetki" zwraca się do wszystkich Kolegów (nek), którzy nadsyłają rękopisy do druku o czytelne pismo, atramentem i jednostronnie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. M-l. 357. Matka i Miłość, Cisza. Nie. — Kol. D-ski. 358. „Buda się pali" do teki. — Kol. M-k. 356. Kwestja wych. fiz. Nie. — Kol. S-ski. 357. Z pod obłoków, ze względów zasadniczych. Nie. — Kol. ?? 444. „Nadzieja" nie. — Kol. K-ski 358. „Czy istnieje życie organiczne na Marsie", nie. — Kol. Z-r. 358. „Mowa. a kultura", nie. — Car Mikołaj I. 444. „Sport to zdrowie", nie. — St. Jet. 357 „Koncert orkiestry marynarki woj.", nie. — Koleż. P-wna. „Z wycieczki po krakowskiej gazowni miejskiej", nie. — Kol. P-rz. 358. „ O potrzebie karności w szkole", nie. — Kol. J-k. 358. „Młodzież ma idee", nie. — Kol. B-u. 357. Żałujemy, ale dział „Rozrywki umysłowe" z powodu małego zainteresowania znieśliśmy. — Kol. J-k 358. „Wezwanie", nie. — Kol. b-z 356. „Coś o sklepiku szkolnym" z powodu nadmiaru materjału w dziale „Prasa społeczna" postanowiliśmy drukować tylko sprawozdania całych Samorządów. — Kol. K-k. 358 „Odpowiedź na apel", nic nowego, nie. — Kol. S-k. 358. Patrz uwaga dla b-z. 356. — Koleż. J. Cz. M. 365, nie.

Uwaga. W odpowiedziach nie uwzględniamy wierszy, anekdot i żartów, bo ich za dużo. Nie uwzględniliśmy również rzeczy przyjętych.

REDAKTOR NALCZENY: J. JURKIEWICZ.

ADMINISTRACJA: ST. GĄSSOWSKI.

Komitet redakcyjny: Estreicher L. i Z. (356), Kruczkowski, Lesner (357), Kański, Hołuj (358), Doboszanka, Mitówna (362), Goetlówna, Kotówna (365) Kańska (440), Wydro, Haraszin (444).

KURATOR: P. PROF. T. SZANTROCH.

Drukarnia L. Gronusia w Krakowie.